

Ian
McEwan



W SKORUPCE
ORZECHA

Jeden

A więc jestem tutaj, obrócony nogami do góry w kobiecie. Ze skrzyżowanymi cierpliwie rękami, czekam, czekam i zastanawiam się, w kim właściwie jestem i po co. Mrużę z nostalgią oczy, wspominając, jak dryfowałem niegdyś w mym przejrzystym worku, jak unosiłem się sennie w bańce swoich myśli, wywijałem w zwolnionym tempie salta w prywatnym oceanie, zderzając się łagodnie z przezroczystymi ścianami mej celi, z ufną błoną, którą wprowadzały w drgania tłumione przez nią, knujące niegodziwy spisek głosy. To było w czasach mej beztroskiej młodości. Teraz gdy wiszę odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni, gdy nie mam dla siebie ani centymetra wolnej przestrzeni i przyciskam kolana do brzucha, moje myśli, podobnie jak głowa, pracują na najwyższych obrotach. Nie mam wyboru, moje ucho dzień i noc przywiera do krwawych ścian.

Słucham, konstatuje i jestem zaniepokojony. Słyszę intymne zwierzenia, w których pobrzmiewają mordercze zamiary, i boję się tego, co mnie czeka, w co mogę być zamieszany.

Tonę w abstrakcjach i jedynie mnożące się między nimi relacje tworzą iluzję znanego świata. Kiedy słyszę o kolorze „niebieskim”, którego nigdy nie widziałem, wyobrażam sobie jakiś rodzaj mentalnego bytu, w pewnej mierze zbliżony do koloru „zielonego” – którego nigdy nie widziałem. Uważam się za kogoś niewinnego, nieobciążonego aliansami i zobowiązaniami, za wolnego ducha, mimo nędznego zakwaterowania. Nikt mi się nie sprzeciwia ani mnie nie strofuje, nie mam żadnego imienia ani byłego adresu, żadnej religii, długów ani wrogów. W moim kalendarzu, gdyby istniał, zaznaczone byłyby tylko zbliżające się narodziny. Wbrew temu, co twierdzą obecnie genetycy, jestem, a może raczej byłem, białą kartą, pustą tabliczką. Lecz tabliczką, która jest śliska i porowata i nie przydałaby się raczej w sali lekcyjnej, tabliczką, która przez cały czas rosnąc, pisze się sama i staje mniej pusta. Uważam się za niewinnego, wygląda jednak na to, że jestem częścią spisku. Wydaje się, że w spisku bierze udział moja matka, niech będzie błogosławione jej niezmordowane, głośno bijące serce.

Wydaje się, matko? Nie, bierzesz udział. Bierzesz udział w spisku. Wiedziałem o tym od początku. Po-

zwólcie, że go przywołam, ten moment stworzenia, który nastał wraz z moim pierwszym konceptem. Dawno temu, wiele tygodni temu, moja ryńienka nerwowa zamknęła się, stając się rdzeniem kręgowym, i miliony młodych neuronów, pracowitych jak jedwabniki, wysnuły i utkały ze swoich aksonów cudowną złotą materię mej pierwszej myśli, pojęcie tak proste, że nie do końca je pamiętam. Czy to było „ja”? Zbyt samolubne. Może „teraz”? Zbyt dramatyczne. A zatem coś poprzedzającego i zawierającego te dwie idee, pojedyncze słowo wyrażone mentalnym westchnieniem lub ekstazą aprobaty, czystego bytu, coś jakby – „to”? Zbyt cenne. A więc, i w tym momencie jesteśmy już blisko, moją ideą było „być”. A jeśli nie „być”, to jego gramatyczny wariant: „jest”. To było moje pierwsze pojęcie i w tym tkwi sedno rzeczy – w „jest”. Po prostu. W duchu *Es muss sein*. Początek świadomego życia był końcem iluzji, iluzji niebycia, erupcją realności. Triumfem realizmu nad magią, „jest” nad „wydaje się”. Moja matka jest zamieszana w spisek i dlatego ja też jestem weń zamieszany, nawet jeśli moją rolę może być jego udaremnienie. Albo jeśli, niechętny głupiec, spóźnię się z rozwiązaniem, to jego pomszczenie.

Ale nie skarżę się, bo szczęście mi sprzyja. Wiem od początku, odkąd odwinałem ze złotej draperii dar świadomości, że mógłbym przybyć na świat w gorszym miejscu i znacznie gorszym czasie. Rudymenty

są jasne i w ich obliczu moje domowe kłopoty są lub też powinny być bez znaczenia. Jest się z czego cieszyć. Odziedziczyć zdobycze współczesności (higienę, dni wolne od pracy, anestetyki, lampy do czytania, pomarańcze w zimie) i zamieszkać w uprzywilejowanym zakątku planety – w odkarmionej, wolnej od plag zachodniej Europy. W starej sklerotycznej Europie, stosunkowo grzecznej, prześladowanej przez swoje duchy, wystawionej na ataki agresorów, niepewnej siebie, celu wybranym przez miliony nieszczęśników. Najbliższym otoczeniem nie będzie dla mnie kwitnąca Norwegia – mój pierwszy wybór ze względu na gigantyczny fundusz rządowy i hojne świadczenia społeczne; ani drugi, Włochy, z powodu regionalnej kuchni i słonecznej dekadencji; ani nawet trzeci, Francja, z racji pinot noir i zawadiackiego zapatrzania w siebie. Zamiast tego odziedziczyć mało zjednoczone królestwo, rządzone przez powszechnie szanowaną leciwą królową, w którym książę biznesmen, słynący ze swych dobrych uczynków i eliksirów (oczyszczającego krew wyciągu z kalafiora) oraz niekonstytucyjnych działań, czeka spokojnie na koronę. To będzie mój dom i niech nim się stanie. Mógłbym przyjść na świat w Korei Północnej, tam także nikt nie podważa sukcesji tronu, ale brakuje wolności i strawy.

Jak to możliwe, że ja, nawet nie młody, nawet nie urodzony wczoraj, mogę tyle wiedzieć lub też mogę

wiedzieć tyle, by się aż tak bardzo mylić? Mam swoje źródła, słucham. Moja matka, Trudy, gdy nie jest akurat ze swym przyjacielem Claude'em, lubi słuchać radia i woli programy słowne od muzyki. Kto, u zarania internetu, mógł przewidzieć rosnącą popularność radia albo renesans tego staroświeckiego wyrazu „bezprzewodowy”. Nie zważając na przypominające odgłosy pralni bulgotanie żołądka i kiszek, słucham wiadomości, tego źródła wszystkich złych snów. Wiedziony szkodliwym dla siebie przymusem, wsłuchuję się w analizy i różnice zdań. Nie nużą mnie powtórki o każdej okrągłej godzinie i nadawane co pół godziny skróty. Toleruję nawet BBC World Service z jego oddzielającymi poszczególne informacje infantylnymi fanfarami syntetycznej trąbki i ksylofonu. Zdarza się, że w środku długiej cichej nocy kopię mocno matkę. Wtedy budzi się i nie mogąc z powrotem zasnąć, sięga po radio. Wiem, że to z mojej strony okrucieństwo, ale rano jesteśmy dzięki temu lepiej poinformowani.

Lubi także podcasty z wykładami i książkowe poradniki w wersji audio – kurs wiedzy o winie w piętnastu częściach, biografie siedemnastowiecznych dramatopisarzy oraz różne pozycje ze światowej klasyki. *Ulysses* Jamesa Joyce’a na ogół ją usypia, choć ja jestem nim zachwycony. Kiedy we wczesnym okresie wkładała w uszy słuchawki, wyraźnie słyszałem wszystko, tak skutecznie fale dźwiękowe wędrują

przez szczękę, obojczyk i niżej, przez cały szkielet i odżywczy płyn owodniowy. Nawet telewizja przekazuje większość swych mało przydatnych treści poprzez dźwięk. Poza tym, kiedy matka spotyka się z Claude'em, omawiają czasami stan świata, na ogół w tonie lamentu, choć spiskują przecież, by uczynić go jeszcze gorszym. Tkwiąc tu, gdzie jestem, nie mając nic do roboty poza rozwijaniem ciała i umysłu, wchłaniam wszystko, nawet rzeczy trywialne, których jest mnóstwo.

Ponieważ Claude jest facetem, który lubi się powtarzać. Recydywistą. Wymieniając uścisk dłoni z nieznajomym, mówi – słyszałem to dwa razy – „Jestem Claude, jak Claude Debussy”. Jakże głęboko się myli. Jest Claude'em jak Claude deweloper nieruchomości, który nic nie komponuje i nigdy niczego nie wymyślił. Kiedy podoba mu się jakaś myśl, wypowiada ją na głos, po chwili znów ją wypowiada i – czemu nie? – wypowiada po raz trzeci. Wprawianie w wibracje powietrza powtarzanym conceptem sprawia mu niemało radości. Wie, że wszyscy wiedzą, że się powtarza. Nie ma tylko pojęcia, że nikogo to nie bawi. Jak dowiedziałem się z wykładu na BBC, nazywa się to problemem referencji.

Oto przykład, jak wygląda dyskurs w wykonaniu Claude'a i jak zbieram informacje. Umówił się telefonicznie z moją matką (słyszę obie strony), że spotkają się wieczorem. Na kolacji we dwoje – mnie jak

zwykle nie liczą – przy świecach. Skąd wiem, że przy świecach? Ponieważ gdy nadchodzi ten moment i prowadzą ich do stolika, słyszę, że matka się skarży. Świece palą się na wszystkich stolikach z wyjątkiem naszego.

Teraz słysząc kolejno zniecierpliwione westchnienie Claude’a, władcze pstryknięcie suchych palców, uniżone mamrotanie, jak się domyślam, zgiętego w pas kelnera, trzask zapalniczki. Mają, co chcieli: kolację przy świecach. Brakuje im tylko czegoś na ząb. Ale trzymają w rękach opasłe karty dań. Czuję na swoim krzyżu ciężką dolną krawędź tej należącej do Trudy. Teraz muszę ponownie wysłuchać starego numeru Claude’a na temat użytych w karcie sformułowań, jakby on pierwszy na świecie zauważył ich banalną absurdalność. Zatrzymuje się na „z patelni”. Czymże jest „patelnia” jak nie oszukańczym uwzniośleniem wulgarного i niezdrowego „smażenia”? W jakim innym naczyniu ktoś miałby usmażyć jego przegrzebki z chili i sokiem z limonki? W jajorwarze? Nim porzuci ten temat, powtarza to samo, przesuwając lekko akcenty. Zanim zacznie go rozwijać, wymawiam bezgłośnie to słowo i nagle niewielka zmiana w mojej orientacji pionowej zdradza, że matka pochyliła się do przodu i kładzie palec na jego nadgarstku.

– Wybierz wino, kochanie – mówi słodkim głosem, by skierować jego myśli w inną stronę. – Coś

super.

Lubię wychylić kieliszek razem z moją matką. Być może nigdy nie mieliście okazji skosztować albo zapomnieliście, jak smakuje przefiltrowany przez zdrowe łożysko zacny burgund (jej ulubione wino) lub zacne sancerre (również jej ulubione). Zanim jeszcze go skosztuję – dziś będzie to Jean-Max Roger Sancerre – odgłos otwieranego korka jest niczym letnia bryza, którą czuję na twarzy. Wiem, że alkohol obniża moją inteligencję. Wszystkim ją obniża. Ale to nic, radosne pąsowe pinot noir albo agrestowe sauvignon sprawia, że wywijam koziołki w mym sekretnym morzu, odbijając się od ścian mego zamku, sprężystego zamku, w którym mieszkam. A w każdym razie sprawiało, kiedy miałem więcej miejsca. Teraz stateczniej oddaję się przyjemnościom i po drugim kieliszku w mojej głowie rodzi się wolność, którą nazywają poezją. Moje myśli pączkują w strzelistych pentametrach, mieszcząc się w jednym wersie lub przekraczając jego granice w miłych wariacjach. Lecz ona nigdy nie wypija trzeciego i to mnie boli.

– Muszę pamiętać o dziecku – słyszę, jak mówi, zakrywając pruderyjnie dłonią kieliszek.

Mam wówczas ochotę złapać za śliską pępowinę, tak jak ktoś łapie za atlasowy sznur w rojącej się od służby wiejskiej rezydencji, i mocno pociągnąć. Bywaj tu, a żywo! Jeszcze jedna kolejka dla naszych przyjaciół!

Ale nie, matkę wstrzymuje miłość, jaką do mnie żywi. Ja też ją kocham – jakże mógłbym nie kochać? Matki, z którą się jeszcze nie spotkałem, którą znam tylko od środka. To za mało! Tęsknię za jej zewnętrżnością. Liczą się tylko powierzchownie. Wiem, że jej włosy są „słomkowo jasne”, że opadają w „niesforzonych puklach” na „ramiona białe niczym miąższ jabłka”, bo mój ojciec przeczytał, w mojej obecności, wiersz, który im poświęcił. Claude również mówi o jej włosach, choć w mniej wyszukany sposób. Kiedy matka jest w odpowiednim nastroju, upina ciasno splecione warkocze wokół głowy, w stylu, jak twierdzi ojciec, Julii Tymoszenko. Wiem również, że jej oczy są zielone, a nos przypomina „perłowy guziczek”, że chciałaby, by był większy, i że obaj mężczyźni, każdy z osobna, zachwycają się nim i starają się uspokoić jej obawy w tym względzie. Powtarzają jej nieraz, że jest piękna, ale pozostaje sceptyczna, co, jak powiedział kiedyś po południu ojciec w bibliotece, daje jej niewinną władzę nad mężczyznami. Odparła, że jeśli to prawda, nigdy nie szukała i nie pragnie takiej władzy. Jak na nich była to niezwykła rozmowa i słuchałem jej z uwagą. Ojciec, który ma na imię John, oświadczył, że gdyby miał taką władzę nad nią albo w ogóle nad kobietami, nie wyobraża sobie, by ją kiedykolwiek oddał. Po sympatycznym falistym ruchu, który na krótko oderwał moje ucho od ściany, domyśliłem się, że matka wzruszyła wy-

mownie ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Cóż, mężczyźni są inni. Ale kto by się tym przejmował?”. Poza tym, oznajmiła na głos, jeśli posiada jakąkolwiek władzę, to tylko tę, której mężczyźni użyczają jej w swoich fantazjach. A potem zadzwonił telefon, ojciec poszedł go odebrać i nigdy już nie podjęli tej ciekawej rozmowy o tych, co mają władzę.

Wracam jednak do mojej matki, mojej niewiernej Trudy, za której ramionami, piersiami białymi niczym miąższ jabłka i zielonym spojrzeniem od dawna tęsknię, której niewytłumaczalna skłonność do Claude’a poprzedza narodziny mojej świadomości, moje pierwotne „jest”, i która często, w łóżku, w restauracji i w kuchni, mówi do niego, podobnie jak on do niej, cichym szeptem, zupełnie jakby bali się, że łona mają uszy.

Myślałem kiedyś, że ta ich dyskrecja wynika po prostu ze zwykłej intymności zakochanych. Teraz jednak nie mam już wątpliwości. Nie angażują nadmiernie strun głosowych, ponieważ planują coś strasznego. Jeśli coś pójdzie nie tak, słyszałem, jak mówią, ich życie legnie w gruzach. Uważają, że jeśli mają to zrobić, powinni działać szybko, już niebawem. Powtarzają sobie, by zachować spokój i cierpliwość, przypominają jedno drugiemu, że w razie fiaska trzeba będzie zapłacić wysoką cenę, że jest kilka etapów, które muszą być ze sobą zsynchronizowane, że jeśli jedna rzecz nie wypali, to wtedy posypie

się wszystko inne, „niczym staroświeckie lampki na choince” – niezrozumiałe porównanie z ust Claude’a, który rzadko mówi zagadkami. To, co zamierzają, przeraża ich i przyprawia o mdłości, i nie potrafią mówić o tym wprost. Zamiast tego słyszę wypowiedziane szeptem elipsy, eufemizmy i peryfrazy, po których następuje chrząknięcie i szybka zmiana tematu.

Pewnej gorącej niespokojnej nocy, gdy sądziłem, że oboje od dawna już śpią, na dwie godziny przed świtem według zegara w gabinecie ojca na parterze, matka rzuciła nagle w ciemność:

– Nie możemy tego zrobić.

I natychmiast padła stanowcza odpowiedź Claude’a:

– Możemy. – I po chwili namysłu jeszcze raz: – Możemy.

Dwa

Zajmijmy się teraz moim ojcem, Johnem Cairncrosem, rosłym mężczyzną, drugą połową mojego genomu, którego helikalny pokręcony los bardzo mnie niepokoi. Tylko we mnie rodzice połączyli raz na zawsze, na słodko i na kwaśno, dwa oddzielne cukrowo-fosforanowe rdzenie, esencję mojej jaźni. Ja również łączę Johna i Trudy w snuty na jawie rojeniach – jak każde dziecko rodziców, którzy się rozeszli, chcę ich ze sobą powtórnie spiknąć, tę komplementarną parę zasad azotowych, i w ten sposób skorelować swoją sytuację ze swym genomem.

Od czasu do czasu ojciec przychodzi do domu i nie posiadam się wtedy z radości. Czasami przynosi jej ze swojego ulubionego baru przy Judd Street rodzaj gęstych owocowych napojów, tak zwane smoothies. Uwielbia te lepkie desery, które mają mu podobno przedłużyć życie. Nie wiem, dlaczego nas odwie-

dza, bo zawsze wychodzi zasmucony. W przeszłości różne moje przypuszczenia okazały się nietrafne, ale uważnie się przysłuchiwałem i sądzę teraz, że ojciec nie ma pojęcia o Claudzie, jest nadal po sztubacku zakochany w mojej matce, ma nadzieję, że niebawem do siebie wróci, i nadal wierzy w powtarzaną przez nią bajeczkę, że separacja ma im dać „czas i miejsce, by dojrzeć” i odnowić łączące ich więzi. Że jest zapoznanym poetą, lecz nie daje za wygraną. Że prowadzi znajdujące się na skraju bankructwa wydawnictwo, w którym opublikował pierwsze tomiki wierszy powszechnie dziś znanych poetów, wśród nich jednego laureata Nagrody Nobla. Kiedy stają się sławni, odchodzą, niczym dorosłe dzieci, do większych wydawnictw. Że traktuje nielojalność poetów jako coś naturalnego i niczym prawdziwy święty cieszy się z pochwał, które potwierdzają wartość Cairncross Press. Że własne niepowodzenia poetyckie bardziej go zasmucają, niż napełniają goryczą. Czytał kiedyś Trudy i mnie krytyczną recenzję swoich wierszy. Zdaniem autora były staroświeckie, sztywne i „zbyt piękne”. Ale żyje poezją, wciąż recytuje ją mojej matce, uczy poezji, recenzuje ją, spiskuje, by wypromować młodszych poetów, zasiada w jury nagród literackich, popularyzuje poezję w szkołach, pisze na jej temat eseje do pomniejszych czasopism i mówi o niej w radiu. Trudy i ja słyszeliśmy go kiedyś wczesnym rankiem. Ma mniej pieniędzy od Trudy i o wiele

mniej od Claude'a. Zna na pamięć tysiąc wierszy.

Oto zebrana przeze mnie kolekcja faktów i hipotez. Ślęcząc nad nimi niczym cierpliwy filatelista, dodałem ostatnio kilka nowych. John cierpi na chorobę skóry, łuszczycę, przez co jego dłonie są łuskowate, zrogowaciałe i czerwone. Trudy nie może na nie patrzeć i ich dotykać i każe mu nosić rękawiczki. On odmawia. Wynajął na pół roku trzy nędzne pokoiki w Shoreditch, jest zadłużony po uszy, ma nadwagę i powinien więcej ćwiczyć. Nie dalej jak wczoraj udało mi się zdobyć bezcenny znaczek: czarną jednopensówkę, w dodatku ostemplowaną. Leżący przy słynnej Hamilton Terrace, utrzymany w georgiańskim stylu dom, w którym mieszka matka (a ja w niej) i który nocami odwiedza Claude, należy do ojca. Odziedziczył rodzinne gniazdo, gdy dobiegał trzydziestki i zapuszczał pierwszą brodę, niedługo po tym, jak poznał moją matkę. Jego własna droga matka od dawna już wtedy nie żyła. Wszyscy zainteresowani zgadzają się, że to rudera. Opisać ją można wyłącznie wyświechtanymi słowami: zrujnowana, zapuszczona, zdewastowana. W zimie zasłony ściana czasem szklisty mróz; podczas ulewnych deszczy kanalizacja, niczym szacowne banki, zwraca depozyt razem z odsetkami, w lecie, podobnie jak złe banki, cuchnie. Ale patrzcie, w pęsetce trzymam najdroższy znaczek świata, Gujanę Brytyjską: choć te pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych jest w tak opła-

kanyim stanie, można za nie dostać siedem milionów funtów.

Większość ludzi, większość mężczyzn nigdy nie pozwoliłaby małżonce wygnać się z rodzinnych pieleszy. John Cairncross jest inny. Oto jak to sobie tłumaczę. Urodzony pod usłużną gwiazdą, uprzedzający życzenia, zbyt miły, zbyt szczery, nie ma w sobie ani trochę tajonej chciwości ambitnego poety. Naprawdę wierzy, że pisząc wiersz na cześć swojej matki (jej oczu, włosów, ust) i przychodząc tu, by przeczytać go na głos, trafi do jej serca i sprawi, że będzie mile widziany we własnym domu. Ale ona wie, że jej oczy nie są wcale „niczym w Galway murawa”, przez co chciał powiedzieć „bardzo zielone”, i ponieważ w jej żyłach nie płynie irlandzka krew, ta linijka jest anemiczna. Zawsze, gdy go razem słuchamy, wyczuwam po jej wolniej bijącym sercu zaćmę nudy, przesłaniającą jej tragizm tej sceny: wielki mężczyzna o wielkim sercu, który wbrew wszelkiej nadziei apeluje do jej uczuć w niemodnej formie sonetu.

Tysiąc to może przesada. Wiele wierszy, które zna ojciec, jest długich jak owe słynne utwory pracowników bankowych, *The Cremation of Sam McGee* i *Ziemia jałowa*. Trudy od czasu do czasu nadal toleruje jego recytacje. Monolog jest dla niej lepszy niż wymiana zdań, woli go od kolejnej przechadzki po zachwaszczonym ogrodzie ich małżeństwa. Być może,

ulega mu z poczucia winy, jeśli jakieś się w niej jeszcze kołacze. Poetyckie recytacje ojca były kiedyś, jak się zdaje, rytuałem ich miłości. Dziwne, że matka nie może się zdobyć, by potwierdzić to, co z pewnością on podejrzewa i co musi wyjść na światło dzienne. Że już go nie kocha. Że ma kochanka.

Dziś w radiu kobieta opowiadała, jak jadąc w nocy samochodem, potrafiła na odludnej drodze psa, golden retrievera. Przykucnęła potem w światłach reflektorów, trzymając umierające zwierzę za łapę, którą wstrząsały konwulsje strasznego bólu. Przez cały czas na kobietę patrzyły wielkie wybaczące brązowe oczy. Wzięła wolną ręką kamień i walnęła nim kilka razy w czaszkę biedaka. Żeby pozbyć się Johna Cairncrossa, wystarczyłoby jedno uderzenie, jedno miłosierne pchnięcie sztyletu. Zamiast tego, kiedy ojciec zaczyna recytować, na twarzy Trudy pojawia się maska uprzejmego zainteresowania. Za to ja słucham bardzo uważnie.

Idziemy wtedy na ogół do jego poetyckiej biblioteki na pierwszym piętrze. Kiedy siada na tym samym co zawsze krześle, słysząc tykanie stojącego na kominie zegara z rozklekotanym kołem balansu. W tym momencie, w obecności poety, pozwalam sobie puścić wodze wyobraźni. Gdyby ojciec spojrzał w stronę sufitu, by zebrać myśli, zobaczyłby naruszone zębem czasu stiuki w stylu Adamów. Opadający tynk osiadł niczym lukier na grzbietach słynnych książek.

Matka, nim siądzie, wyciera dłonią fotel. Bez zbędnych wstępów ojciec nabiera powietrza i zaczyna recytować. Robi to płynnie, z uczuciem. Większość współczesnych poetów nie budzi we mnie emocji. Za dużo o sobie, zbyt szklisty chłód w stosunku do innych, za wiele narzekań w zbyt krótkich wersach. Ale John Keats i Wilfred Owen są niczym braterski uścisk. Czuję ich oddech na swoich wargach. Któż nie chciałby napisać *pigwy i śliwki, jabłka w cukrze, banie** albo *Niech bladość twarzy dziewcząt będzie im całunem***?

Staram się patrzeć na nią jego zachwyconymi oczami. Trudy siedzi w dużym skórzanym fotelu, pochodzącym z Wiednia, z epoki Zygmunta Freuda. Smukłe gołe nogi ma częściowo i ślicznie podwinęte pod pupę. Jeden łokieć oparła o poręcz, by podprzeć opadającą głowę, palcami drugiej ręki bębni lekko po kostce. Jest późne popołudnie, gorąco, za otwartymi oknami szumi przyjemnie ruch uliczny St John's Wood. Matka ma zamyśloną minę, dolna warga wydaje się ciężka. Zwilża ją nieskazitelnym językiem. Kilka jasnych loków przykleiło się jej do szyi. Bawełniana sukienka, luźno skrojona, by mnie pomieścić, ma kolor jasnozielony, jaśniejszy od jej

* John Keats, *Wigilia świętej Agnieszki*, przeł. Zofia Kierszys, w: *Poezje wybrane*, PIW, Warszawa 1962.

** Wilfred Owen, *Hymn dla młodych, skazanych na zgubę*, przeł. Stanisław Barańczak, w: *Od Chaucera do Larkina*, Znak, Kraków 1993.

oczu. Cięża stale się rozwija i matka robi wrażenie sympatycznie znużonej. John Cairncross widzi letnie rumieńce na jej policzkach, uroczą linię szyi, ramion i nabrzmiałych piersi, optymistyczny wzgórek, czyli mnie, bladość ocienionych łydek, gładką podeszwę odsłoniętej stopy, niewinne, zmniejszające się palce ustawione w rzędzie niczym dzieci na rodzinnej fotografii. Wszystko w niej, myśli, jest doprowadzone do perfekcji dzięki jej stanowi.

Nie widzi, że ona czeka, by wyszedł. Że jest z jej strony perwersją upieranie się, by mieszkał gdzie indziej w tym naszym trzecim trymestrze. Czy naprawdę tak mocno zaangażował się w dzieło własnego zniszczenia? Taki duży facet, z tego, co słyszałem, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, olbrzym z gęstymi czarnymi włosami opadającymi na mocarne ramiona, wielki głupiec, skoro wierzy, że powinien dać żonie „przestrzeń”, której ta się domaga. Przestrzeń! Mogłaby zajrzeć do mnie, gdzie ostatnio trudno mi poruszyć nawet małym palcem. W ustach mojej matki przestrzeń, której potrzebuje, jest poronioną metaforą, jeśli nie synonimem egoizmu, oszukaństwa i okrucieństwa. Ale zaraz, przecież ja ją kocham, ubóstwiam ją i jej potrzebuję. Cofam to! Mówiłem w złości. Dałem się zwieść tak samo jak ojciec. I to prawda. Jej uroda, dystans i determinacja zlewają się w jedno.

Widzę, jak z osypującego się nad jej głową sufitu